

PIONIERZY DUSZPASTERSTWA POLSKIEGO W SYDNEY.

Wczytując się w treść Pamiętnika ks. W. Sojki, CM, a podaję w tej chwili tylko jego wyjątki i znając dość dobrze wymieniane miejscowości z lokalizacją emigracyjnych obozów a na dodatek znając jeszcze odległości tych miejsc od Domu Księża Misjonarzy w Ashfield, uświadamiam sobie wysiłek jaki musieli wkładać księża Pionierzy Duszpasterstwa Polskiego w Sydney. A na dodatek, ks. W. Sojka jako środek lokomocji miał miejską kolejkę a na dalsze wyjazdy skromny skuter. Potrafił nim docierać do Wollogong czy Newcastle. Te odległości i dzisiaj są problemem do pokonywania w wygodnym samochodzie. Tego czego dokonali Polscy Księża Misjonarze to przede wszystkim, dzięki ich misjonarskiemu powołaniu i charyzmatowi misyjnej pracy. Czytając Pamiętnik, sędzę, że jednym jeszcze z powodów wyjazdu z Australii ks. Sojki a nie wspomnianym przez niego było zwyczajne przemęczenie. A tak, jak jeszcze znam te wydarzenia z relacji naocznych świadków tych czasów to wyjazd ks. Sojki był czymś w rodzaju moralnego wstrząsu dla Polonii Sydneyjskiej. A tym samym choć nieco wyciszył dyskusje na temat Domu Polskiego Dziecka i ułatwił dalszą realizację tych planów ks. Arciszewskiemu. A nieco entuzjazmu wokoło tego projektu wzbudził fakt zakupu ziemi w Marayong a przede wszystkim przyjazd Sióstr Nazaretanek ze Stanów.

(komentarz ks. Z. Pajdaka SChr).

Poniższe relacje podaję za Pamiętnikiem Księdza Wojciecha Sojki, CM. Spisał je w Stanach Zjednoczonych w 1967 r. na prośbę Archiwum Polskiej Prowincji Księża Misjonarzy.

Skąd ksiądz wziął się w Australii ? Pytano mnie często w czasie moich pierwszych kontaktów z rodakami. Wychodzący nasi znali wielu polskich księży z powojennych Niemiec, nie spodziewali się, że w Australii spotkają innych księży polskich. Nie każdy chciał wierzyć, że będą mieli polskich księży aż z Chin. Tymczasem było nas aż pięciu. Pierwszy dojechał do Australii ks. Edmund Konrad Trzeciak. Po nim dojechali księża: Franciszek Arciszewski, Marcin Cymbrowski i Wacław Czapla. Wszyscy trzej wyjechali z Chin, najpierw do Stanów Zjednoczonych a dopiero stamtąd do Australii. Ja wyjechałem z Chin, najpierw na Filipiny w listopadzie 1948 roku, a dopiero z Filipin do Australii. Wylądowałem w Sydney w sobotę 30 kwietnia 1950 roku. Dla wyjaśnienia; rewolucja komunistyczna zmusiła wszystkich misjonarzy zagranicznych, tak katolickich jak i protestanckich, do opuszczenia Chin. Nasza polska Misja w Shuntehfu (395 km. na południe od Pekinu), uległa zagładzie w zimie 1946/47. Wygnani lub praktycznie zmuszeni do wyjazdu z Shuntehfu, zatrzymaliśmy się jakiś czas w Pekinie i w Szanhaju w nadziei, że może fala wojny domowej obróci się inaczej. Po kilku miesiącach jedni wyjechali do Polski, inni do Francji a inni jeszcze do Stanów Zjednoczonych. A dwaj z nas znaleźliśmy tymczasowe zajęcie na Filipinach u hiszpańskich Vincentian Fathers u księży tego samego zgromadzenia zakonnego. Pierwszy udał się tam ks. Wacław Czapla a drugim byłem ja. Dlaczego nie zdążyłem za innymi do Stanów Zjednoczonych ? Mieliśmy zwyczajne trudności z otrzymaniem wizy na pobyt stały w USA. Po rocznym pobycie na Filipinach formalności wizowe były już na dobrej drodze. Ale z tonu korespondencji, tak z przełożonymi jak i innymi księżmi z Ameryki, odnosiłem wrażenie, że byłbym tam niezbyt mile widziany. Nie wyczuwałem w żadnym liście, jaka by tam czekała mnie praca. A z korespondencji z ks. F. Arciszewskim, który wtedy był już w Australii wyczułem, że tam będzie dla mnie pożyteczne pole pracy. Pierwszym występowaniem na arenie Polonii był dla mnie dzień 3 maja a raczej niedziela 7 maja w 1950 roku. Było to pierwsze nabożeństwo 3 cio Majowe dla Polaków w Sydney. Kościół był pełen rodaków ale nie było ścisku. Ks. Arciszewski kazał mi abym był celebransem Mszy św. a sam wziął kazanie. Po Mszy świętej wszedł na ambonę ks. bp. Eris O'Brien ówczesny biskup pomocniczy w Sydney a zarazem odpowiedzialny za problemy posługi duszpasterskiej emigrantom w archidiecezji Sydney. O czym mówił dziś już nie

pamiętam. Pamiętam tylko, że ks. Arciszewski stał obok niego na ambonie i tłumaczył przemówienie biskupa, zdanie po zdaniu. A po Mszy św. było jeszcze wspólne zdjęcie.

MOJA POZYCJA W AUSTRALII:

Jako członek zgromadzenia księży Misjonarzy (w Australii Vincentian Fathers), założonego w roku 1625 przez św. Wincentego a Paulo, na zasadzie przepisów kościelnych, zamieszkaliśmy u miejscowych Vincentian Fathers. Nie tylko mieszkaliśmy, ale formalnie i urzędowo zależeliśmy od miejscowych domów zakonnych. Pociągało to za sobą korzyści jak i ograniczenia. W porozumieniu z biskupami australijskimi sprowadził nas do Australii prowincjał księży Misjonarzy. Był nim w ks. dr Nicolas Rossiter. Zgodnie z ogólnym nastawieniem hierarchii i ks. Rossiter dążył do możliwie jak najszybszej naszej asymilacji. Dlatego nie zgodził się abyśmy zamieszkali w jednym domu a nawet w jednym mieście. Ks. Wacława Czapłę umieścił w Brisbane z księżmi prowadzącymi bursę dla studentów uniwersyteckich. Ale dzięki temu mógł się zająć posługą duszpasterską wobec tamtejszej Polonii. Ks. Marcinowi Cymbrowskiemu na życzenie biskupa pozwolił mieszkać w ogromnym obozie, Migrant Holding Centre w Cowra, NSW. Ks. Konrada Trzeciaka skierował do Bathurst i dał mu mieszkanie w tamtejszym St. Stanislaus Kostka College. Dzięki temu ks. K. Trzeciak objął posługą duszpasterską tamtejszy obóz dla emigrantów a większość mieszkańców stanowili Polacy. W Bathurst ks. Trzeciak rozwinął swój talent dziennikarski zakładając Tygodnik Katolicki. Bardzo skromne były początki tego tak cennego tygodnika dla Polonii Australijskiej. Rozpoczął od jednej kartki drukowanej na powielaczu z najbardziej podstawowymi informacjami z życia Kościoła Katolickiego jak i ogólnymi informacjami o życiu w Australii. Z czasem przybywało stron aż do wydawania drukiem. Z trudem nasz prowincjał dał się namówić na pozostawienie mnie w tym samym domu gdzie mieszkał ks. Arciszewski, to jest przy kościele św. Wincentego w Ashfield, kilka minut kolejką na zachód od centrum Sydney. Nie miałem żadnej specjalnej nominacji od ks. Kardynała N. Girloy'a, ale de facto byłem przez cały czas pobytu w Sydney asystentem ks. Arciszewskiego.

POLE PRACY:

Powierzono nam opiekę duszpasterską nad wszystkimi polskimi emigrantami, przede wszystkim z w diecezji Sydney. A gdy powstała osobna diecezja dla okręgu Illawara z siedzibą w Wollongong to i w tej diecezji trzeba było zająć się rodakami. Nabożeństwa dla Polaków urządzaliśmy przede wszystkim w kościele św. Wincentego w Ashfield każdej niedzieli o godz. 12,00. Ale, to nie były wszystkie nasze zajęcia. Emigranci byli rozmieszczeni w wielu hostelach nazywanych: Migrants Holding Centre. Czasem były to dawne baraki wojskowe jak np. Bradfield Park w północnej części Sydney. Czasem były to jakby małe miasteczka. Domy były z cynkowej, falistej blachy - kilka pokoiów pod jednym blaszanym dachem. W osobnym budynku mieściła się kuchnia, w osobnym magazyn, czasem mieli emigranci nawet osobną świetlicę, którą można było na niedzielę zamienić na kaplicę a nawet ustawić stały ołtarzyk. Tak było np. w wielkim obozie w Villawood w zachodniej części metropolii Sydney. Robotnicy zatrudnieni w zakładach wodociągów, mieli brzydki obóz w Pott's Hill a mechanicy kolejowi jeszcze okropniejszy w Clyde. Były to nędzne, ciasne i ciemne namioty a później budki z płyt azbestowych, zwanych tam fibro. Obóz w dzielnicy Matraville to były olbrzymie składy wełny, podzielone na małe pokoiki. Próbowaliśmy urządzać dla emigrantów pogadanki informacyjne z nauką języka angielskiego. Niedługo to trwało bo rodacy nie zdradzali większego zainteresowania. Sami emigranci stwierdzali, że wolą przejechać się na Mszę św. do Ashfield i mieć nabożeństwo w ładnym kościele i w odpowiednim nastroju niż w nędznej kaplicy, w której poprzedniego wieczoru było pijaństwo i sprośne śpiewano. W każdym razie, choć przez kilka niedziel można było nawiązać znajomość z emigrantami i powiedzieć im gdzie mogą znaleźć polskiego

księdza. Pozostały za to dwa olbrzymie obozy: Villawood i w Cabramatta. Ale i tam nabożeństwa w 1953 roku przeniesione zostały do najbliższych kościołów parafialnych. A kościół w Cabramatta stał się na równi z kościołem w Ashfield, miejscem stałych nabożeństw dla Polaków. Podobnie dało się rozwiązać stałą opiekę duszpasterską w Bankstown przy ogromnym obozie kolejowym w Chullora. Początkowo mieszkali tam tylko mężczyźni. Żony mieszkaly z rodzinami w obozach: Scheyville, Cowra, St. Mary's oraz Wenworthville. Oprócz nas było w Sydney dwóch jeszcze księży, choć nie Polacy ale mówiący po polsku: Czech nazwiskiem Mika, Redemptorysta i Łotysz Gajdelis, Jezuita. A po jakimś czasie dojechał jeszcze z Chin do Sydney O. Sadok Maćkowiak, Dominikanin. Zasadniczo był on profesorem teologii w swoim dominikańskim klasztorze ale w niedziele dojeżdżał chętnie do Villawood lub do Cabramatta. Ośrodkiem Blacktown-Scheyville zajął się na jakiś czas O. Zygmunt Klimowicz, młody Kapucyn, były więzień obozów koncentracyjnych. Okręg Wollongong nie był dla nas łatwy. A tak się złożyło, że była to moja; prawie wyłączna domena – (rain or shine). Początkowo odprawiałem Msze św. w obozie Unanderra i Conoston dla pracowników wodociągów miejskich w Wollongong. Z biegiem czasu przenieśliśmy nabożeństwa do miejscowych kościołów. A jako środek lokomocji pozwolono mi kupić zaledwie motor - scooter VESPA i tak ułatwił mi kontakt z dalszymi obozami tak w Sydney jak i w diecezji Wollongong.

DUSZPASTERZEM BYĆ, ALE JAK ?

Przed wyjazdem z Filipin do Australii otrzymałem list ks. Arciszewskiego a w nim uwagę, że praca wśród emigrantów to coś podobnego do pracy na misjach chińskich. Było w tej uwadze sporo prawdy bo było dużo podróżowania jak w Chinach tak i w Australii. Woził człowiek ze sobą przybory mszalne, prowadził koczownicze życie, a czasem napotykał owieczki niewiele wiedzące więcej o Mszy św. niż nasi chińscy katechumeni. Podobieństwa podobieństwami a w gruncie rzeczy różnic było więcej niż podobieństw, przede wszystkim dla mnie jako, że nawet w Chinach byłem przez dłuższy czas profesorem niż wędrownym misjonarzem. W gruncie rzeczy, każdy z nas zaczynał w Australii pracę jakiej nigdy nie prowadził i dopiero z wolna zdobywał doświadczenie, zaczynając od zaznajomienia się z ludźmi. Tych ludzi na pewno o wiele lepiej znali księża, którzy w poprzednich latach żyli w obozach D.P. (Dipisowskich), na terenie Niemiec. I mieli więcej wyrozumienia bo wiedzieli nie tylko jacy ci ludzie są ale i dlaczego są tacy a nie inni. Kto znał Polaków w kraju i pamiętał jacy byli przed rokiem 1939 ten musiał się nieraz bardzo a bardzo dziwić na widok emigranckiej gromady w Australii. Wystarczyło obliczyć ilu ludzi przychodziło na Mszę św. w takim obozie Villawood. Jasne, że w Polsce przed wojną nie wszyscy byli w kościele w każdą niedzielę, w każdym razie teraz widziało się katastrofalny spadek tej frekwencji. Nawet na Boże Narodzenie nie było w kaplicy obozowej więcej niż 15 procent a w zwykłe niedziele rzadko bywało w kaplicy więcej jak 80 do 100 ludzi na co najmniej tysiąc katolickich mieszkańców obozu. I to mimo zawiadomień w gazecie, mimo osobistych odwiedzin po pokojach, mimo plakatów rozwieszanych gdzie się tylko dało. Kino gromadziło tłumy, olbrzymia świetlica stawała się za ciasna, a gdy w niedzielę rozstawiło się krzesła to ani trzecia część siedzeń nie była zajęta. Nigdy nie było osób stojących. Ale nie potępiajmy nikogo. Potępiajmy tylko wojnę, Hitlera, Stalina i tych co po wojnie nie chcieli i nie umieli naprawić przynajmniej tego co jeszcze można było ratować. Kiedyś w czwartym roku pobytu w Australii spotykam na dworcu kolejowym w Ashfield dwóch kolejarzy. Czekają na coś i gawędzą po polsku. Starałem się zwykle, choć mi to nie zawsze łatwo przychodziło nawiązać z takimi ludźmi rozmowę. Dowiedziałem się, że byli w Sydney już co najmniej 6 lat, że mieszkali w okolicy skąd ludzie czasem dojeżdżali do Ashfield na polskie nabożeństwa ale ci dwaj nie wiedzieli nic a nic, że w Australii są polscy księża i że w tym właśnie Ashfield w kościele, który widać z dworca od 5 lat odprawiały się polskie nabożeństwa.

DOM DZIECKA POLSKIEGO.

Nie będę się ubiegał o tytuł pioniera w sprawie Domu Dziecka w każdym razie byłem, chcąc nie chcąc, jednym z pierwszych, którzy tę sprawę podnosili i propagowali. Poszło o to, że w pierwszych latach pobytu na emigracji los rodzin był bardzo ciężki. Raz za razem przychodzili do polskiego kapelana jeden i drugi i trzeci ojciec rodziny i pytał: gdzie by tu na rok lub dwa umieścić dziecko lub dzieci? Zwykle wywiązywała się taka mniej więcej rozmowa. Proszę księdza jest tak ciężko o mieszkanie a już z dziećmi nikogo i nigdzie nie przyjmą. Ja mieszkam w jednym obozie, żona w drugim siedzieć musi przy dziecku. Gdyby i ona poszła do pracy to byśmy się prędzej czegoś dorobili a tak to się będziemy bez końca mordować. Księżę, gdzie by tu dzieci umieścić ? Zapłacimy . A był pan w Catholic Welfare Office ? Byłem, ale tam nie chcą pomóc. Jest tam nawet taki polski ksiądz, ale on nie chce z nami mówić po polsku. Co to za człowiek ! Tam jest polski ksiądz ? Kto to panu mówił ? Jakże by nie ! Przecież się nazywa po polsku, Makłowski czy coś takiego. De facto był tam ksiądz, który się nazywał podobnie ale to nie był Polak a Australijczyk a jego nazwisko brzmiało MacClosey. Był dyrektorem wszystkich instytucji dobroczynnych i opiekuńczych na całą diecezję. Od niego zależała w ostatecznej instancji każda sprawa. Miałem z nim kilka rozmów, których nie można nazwać przyjacielską wymianą zdań. Nie znając jeszcze Australii nie orientowałem się i ja w sydneyjskich stosunkach w tej dziedzinie. Starałem się przekonać ks. MacClosey, że byłoby dobrze zrobić właśnie tak jak o to proszą emigranci. On jednak w żaden sposób nie dał się przekonać. Nie tłumaczył swego stanowiska dokładnie, oświadczył tylko, że stawiałoby to Australijczyków w gorszym położeniu niż emigrantów. Wyczuwało się, że jego zdaniem emigranci byli tylko nowym ciężarem dla kraju a w każdym razie nie mieli prawa do żadnych przywilejów. Powstał więc pomysł. Polacy muszą sami takie zakłady budować ! Pomysłu tego nie przemyślałem jednak do ostatka i do ostatnich konsekwencji. Zacząłem go propagować, ludzie nawet przytakiwali, niektórzy obiecywali swoje poparcie. Ale poza obietnicami nie było nic więcej. A zaczęły się trudności. Polacy, którzy nawet obiecywali dziesiątki funtów zaczęli się wykręcać. Zaczęła się zwyczajnie polepszać sytuacja rodzinna. Jeden po drugim zabierał dziecko i żonę z obozu w Greta, Cowra czy Scheyville i lokował się w tymczasowym garażu, budował dom. Inne dzieci znalazły pomieszczenie w obozach przemienionych na rodzinne a więc w Villawood i Chullora. Mijał okres zdenerwowania i wyjątkowego zapotrzebowania na domy dziecka. Pod koniec mego pobytu w Australii wycofałem się z Komitetu. Moje miejsce zajął ks. Arciszewski. Wyszło mu to na dobre bo się rozruszał. Komitetowi też bo ks. Arciszewski był bardziej systematyczny chociaż swoją sztywną postawą raził niektóre panie. Kończowa uwaga; byłem entuzjastą Domu Dziecka i sprowadzenia polskich sióstr do Australii. A byłem i jestem rozzaczarowany, przede wszystkim brakiem prawdziwego zainteresowania tą sprawą wśród Polonii. Część tego rozzaczarowania przerzucam jednak na siebie samego; bezkrytycznie obiecywałem sobie lepsze wyniki zbiórki i całkowite poparcie ze strony społeczeństwa. Innymi słowy, nie orientowałem się w sytuacji. A może to przeliczenie przyczyniło się do dobrego. Pan Bóg pisze prosto nawet na nieraz bardzo krzywych liniach ludzkiego działania. Bo bez tego nie byłbym entuzjastą.

DLACZEGO I JAK WYJECHAŁEM Z AUSTRALII ?

Na mój wyjazd z Australii złożyło się kilka motywów. Trudno mi dzisiaj osądzić, który z nich grał najważniejszą rolę. Motywem ogólniejszej natury była utrata nadziei na możliwość otworzenia własnego domu misjonarskiego, bez którego nie wyobrażałem sobie przyszłości i starości. Zapowiadało się siedzenie kątem u Misjonarzy Australijskich a i to wyglądało problematyczne już około roku 1954/55. Władze kościelne powzięły po roku 1953 decyzję pozbycia się księży emigracyjnych a nasz australijski prowincjał ks. dr Nicolaus Rossiter powziął postanowienie pozbycia

się naszej piątki. Praktycznie on zmusił ks. W. Czapłę do wyjazdu z Australii. Przyczyniły się do tego skargi ambitnych liderów Polonii w Brisbane do ks. abp. Duhig'a a przedstawione ks. Rossiterowi. Pozbył się też ks. M. Cymbrowskiego nie pozwalając mu nigdzie osiąść po likwidacji obozu w Cowra, NSW. Drugim powodem były naprężone stosunki między mną a ks. Arciszewskim. Choć sam ks. Arciszewski apelował – pozostań. A zdaje mi się, że mój wyjazd wpłynął dodatnio na ks. Arciszewskiego bo go obudził z długotrwałego letargu i siedzenia w fotelu i dzień za dniem unikania angażowania się w sprawy, które się same narzucały. Z ks. Arciszewskim cały czas korespondowałem w czasie mego pobytu w Brazylii a już w pierwszym liście jaki otrzymałem od niego, znalazło się zdanie, że czuje się osamotniony. Jakkolwiek prosiłem księdza Radcę o pozostawienie ks. Arciszewskiego jak najdłużej w Australii. Ale jakoś zmieniło się nastawienie australijskiej hierarchii i duchowieństwa. Nam nie pozwolono na założenie Domu Misjonarskiego bo już była australijska prowincja. Wyjeżdżając mówiłem, że czego nie pozwolono nam to pozwolą przedstawicielom zakonu nie istniejącego w Australii. Właśnie dlatego Chrystusowcy uzyskali to o czym nie mogli marzyć polscy Vincentian Fathers... W każdym razie należy się wdzięczność Australijskim Misjonarzom, że nam na początek ułatwili życie i pracę w Australii, przede wszystkim w Sydney. A kościół św. Wincentego w Ashfield stał się na długie lata rzeczywistym ośrodkiem naszego duszpasterstwa.

MARAYONG: SKRAWEK POLSKIEJ ZIEMI.

Artykuł ks. Franciszka Arciszewskiego CM drukowany w czasopiśmie Skarbiec Rodziny wydawany przez Księżę Misjonarzy w USA, 1963 rok.

Komitet Domu Dziecka Polskiego w Sydney zakupił pod budowę domu teren o powierzchni około 30 akrów, położony blisko stacji kolejowej Marayong w odległości prawie 30 mil od centrum Sydney. Po przybyciu siostr Nazaretanek do Sydney, Komitet przekazał im zakupiony teren z pełnym tytułem własności. Tam to w małym drewnianym domku zamieszkały przybyłe do Sydney siostry. W roku 1956, przy wydatnej pomocy społeczeństwa polskiego z Sydney i okolicy wybudowały siostry w Marayong dwa nowoczesne budynki, w których obok mieszkania dla siostr i tymczasowej kaplicy, można było urządzić internat dla 40 dzieci w wieku 3 - 10 lat oraz 3 klasy szkolne. Te dwa budynki były tylko częścią planu. Zanim jeszcze rozpoczęto budowę nowych domów, Komitet zakupił okazji dwadzieścia baraków wojskowe i przewieziono je na teren Domu Dziecka. Zaczęto urządzać pikniki, podczas których baraki służyły za salę do tańca i do innych użyteczności. Między tymi barakami odbyło się również pierwsze nabożeństwo z procesją maryjną w sierpniu 1956 roku. A Polacy z Sydney zaczęli uważać teren Domu Dziecka Polskiego w Marayong za skrawek polskiej ziemi w Australii. Nie mając swego polskiego kościoła tam właśnie, pod gołym niebem urządzają swoje specjalne polskie nabożeństwa. Stało się to już tradycją, że w Marayong odbywa się w ostatnią niedzielę sierpnia uroczysta polowa Msza św. po czym rusza procesja z Najświętszym Sakramentem. Po procesji następuje odnowienie Ślubów Jasnogórskich. Drugą tradycją jest Pasterka w Marayong. Pamiętajmy, że Boże Narodzenie w Australii wypada w lecie. To też uroczysta pasterka o północy pod gwiazdzistym niebem przyciąga tysiące Polaków, którzy całą duszą wyśpiewują się w pięknych polskich kolędach. Te piękne kolędy i nastrój takiej właśnie Pasterki zwabia do Marayong również i Australijczyków. Tak to dla tańca i różańca jadą Polacy do Marayong na skrawek polskiej ziemi. Bo podobno modlić i bawić się można najlepiej po polsku.

Ks. Franciszek Arciszewski CM